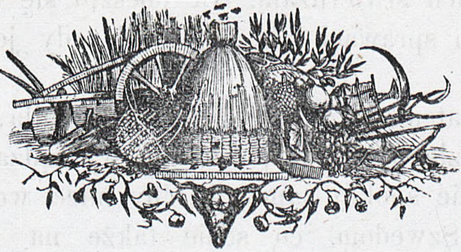
Tom XIII. **Nr. 11.**

11. października **1865.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Lew Sapieha.

Słyszeliście już o królach naszych polskich i o ich rządach, które to stan kmiecy w szczególnej swej miały opiece i prawa ustanowiły, któremi się tak pan najmożniejszy, jako i kmiotek najmizerniejszy zarówno sądzić mieli, a to dla tego, by już jak to zwykle na świecie się działo, możniejszy i silniejszy, słabszego i biedniejszego nie uciskał i nie krzywdził. Było to w Polsce dużo takich królów dbałych o dobro kmiotków, i nietylko królowie sami opiekowali się ludem kmiecym, boć to Polska była krajem ogromnym, sięgała od morza Czarnego aż do Bałtyckiego, i łatwoby gdzieś jednemu w okolicy dalekiej krzywda stać się mogła, którąby do usz króla nie doszła — to też wielcy i możni panowie, co to byli tak majętni, żeby się z niejednym małym królem nie byli mieniali, opiekowali się także ludem polskim.

Książę Lew Sapieha wielki obrońca ojczyzny i opiekun ludu swego, którego mu też Bóg wiele był powierzył, boć był to pan niemal połowej Litwy, żył za czasów Zygmunta III króla polskiego i był prawą ręką jego, ozdobą norodu wśród

pokoju, podporą w czasie wojny, w sądach sprawiedliwością, ojcem poddanych, jak to starzy pisarze, co razem z nim żyli, w pismach swoich stwierdzają. Nie obeszło się też nigdy, żeby król w ważnych sprawach nie zasięgnął rady jego lub jej nie usłuchał.

Moskwa natenczas częste napaści czyniła, napadała na Polskę i wiele złego ludowi polskiemu wyrządzała. Chciał król od Moskwy sobie spokój zapewnić, by mieć wolne ręce przeciw Turkowi i Szwedom, co sobie także na niektóre kraje polskie zęby ostrzyli. Trudną tę sprawę z Moskalem nie miał król komu lepiej powierzyć jak księciu Sapieże, który też nie odciągał się od tej trudnej z Moskalem sprawy, bo tu szło najbardziej o zabezpieczenie ludu polskiego od cudzej napaści, który przy tem najwięcej zawsze ucierpiał. Jeździł on do Moskwy trzy razy i z wielkiem staraniem pierwszy raz na lat 10, drugi raz na 20, a trzeci raz na lat 14 trwały pokój ułożył.

Kiedy Polska wojnę miała z Turkiem, chciwy król szwedzki korzystając z tego napadł z wojskiem wielkiem na Polskę od morza, a pustosząc prowincye polskie, czem raz w głąb kraju się posuwał, zamek po zamku zabierał i wielkie krzywdy ludowi bezbronnemu czynił. Nie czekał Lew Sapieha, aż mu król, i tak wojną zakłopotany, wojsko na odparcie Szweda przyszle, ale sam na swój własny koszt, boć i w skarbie królewskim natenczas pieniędzy nie było, zaciągnął wojsko, i na czele tego własnego wojska sam się opierał Szwedowi, zamek po zamku odbierał, a nakoniec zmusił, że się z Polski całkiem ustąpił i lud w niewolę zabrany oddał. W wojnie zaś z Moskwą wspierał króla silnie i radą i pieniądzmi, i wojskiem swojem własnem, i silnem swem ramieniem, niczego nie szczędził, ni majątku ni życia, by tylko ojczyznie usłużyć, za co go lud wszędzie witał serdecznie i ojcem ojczyzny nazywał.

A choć to był pan majętności wielkich, toć przecież nie mógł tak ogromnym wydatkom, jakich wojna wymaga, podołać; lecz nie ustawał w ofierze, pożyczał pieniędzy od cudzych na swoje dobra, i takie długi porobił, że je sam nie mógłszy spłacić, synom swoim w testamencie przekazał, by dług ojcowski spłacili.

Za jego to życia odbył się w Wilnie wielki obrzęd uroczysty religijny. Ojciec św. Klemens VIII uznał świętym już dawno zmarłego i cudami słynącego Kazimierza, królewicza polskiego, i dekret swój na to do Polski przysłał. Zygmunt III król polski nie mógł sam na tę uroczystość do Wilna zjechać, bo był bardzo ważnemi sprawami zajęty. Nie było gorliwszego, o honor boski i wiary św. więcej dbającego jak Sapieha, i jego też król za siebie na tę uroczystość do Wilna posłał, by tamże przy uroczystości tej osobę króla zastąpił, ciało św. Kazimierza na ołtarzu złożył i całemu ludowi pismo Ojca św. ogłosił. Z radością przyjął to poselstwo na siebie Lew Sapieha, natychmiast do Wilna zjechał, przy wielkiej uroczystości kanonizacyę Swiętego ludowi ogłosił, a wziąwszy z rąk posła rzymskiego chorągiew z obrazem Kazimierza św., którą Ojciec św. ze Rzymu przysłał, niósł ją za procesyą pośród najznakomitszych mężów z narodu i wielkiego zebrania ludu, i też chorągiew u grobu św. Wyznawcy złożył, po skończonej zaś uroczystości całą historyę tejże i życia św. Kazimierza wydrukować kazał i takową na większą chwałę Boga i Świętego między lud rozdał, cały ten czyn swój królowi ofiarując, za co mu tenże z wdzięcznością podziękował.

Nie długo potem zakrwawiło się serce Lwa Sapiehy z wielkiego żalu i smutku. Za złą namową podnieśli mieszczanie miasta Witebska bunt, zamordowali okrutnie biskupa i pasterza swego ojca Jozefata Kuncewicza, za to, że wiary swojej mocno dotrzymywał i do odszczepieństwa nakłonić się nie dał, a na miejsce zamordowanego obrali sobie nieprawnie jakiegoś innego biskupa.

Znowu wysłał król do Witebska Lwa Sapiehę, by bunty poskromił, przewódźców ukarał, a zbuntowanych nazad na łono kościoła katolickiego nawrócił. Gdy Lew Sapieha do Witebska zjechał i sprawy tej z ostrożnością dochodzić zaczął; mieszczanie zbuntowani sami się do winy przyznali, i zeznali, że ich pobożny, świątobliwego życia pasterz za poduszczeniem jakiegoś mnicha Czerńca, który z jakimiś listami tam do nich przybył, a potem nie wiedzieć gdzie się podział, tak niewinnie śmierć okrótną poniósł.

Po ścisłem śledztwie ścigano morderców, a ujętych ich 19 jednego dnia kat toporem pokarał. Miastu odebrał Sapieha wszystkie prawa, przywileje i wolności nadane im od królów i książąt polskich, na znak żałoby ratusz obalić kazał, by dzwonka ratuszowego nie mieli, którzyby ich na narady zwoływał, z dzwonów wszystkich w mieście jeden dzwon wielki ulać kazał, na którym wykroczenie zabójców wypisane było, i dzwon ten przy kościele, przy którym biskup zamordowany został, na wieczną pamiątkę kary zawiesić rozkazał. Ciała hersztów ukaranych w rzekę Dźwinę powrzucać kazał, za to, że zamordowanego biskupa swego w wodzie utopili. Pokarał też Sapieha srodze Niemców w Rydze, kiedy ci przeciw królowi polskiemu spiski i bunty knowali.

Dbały o chwałę Boga w całej Litwie bardzo wiele kościołów fundował, a przy nich klasztory, kolegja, szkoły, szpitale i kaplice zakładał i wszystkie bardzo hojnie wyposażał. W samej Litwie jest 24 kościołów prócz kilkudziesięciu cerkwi okazałych, które sam wymurował i dochodami opatrzył. Ozdobę świątnic pańskich bardzo kochał, gdy postrzegł albę na księdzu podartą, albo ornat łatany, na ołtarzu kielich materji lub roboty prostej — na wybór piękne alby, ornaty lub kielichy dawał, mówiąc:

— Ja świeckim panem jestem, krótkiego życia i honoru, a przecież ganię sługi moje, jeżeli który w oczach moich w nieprzyzwoitym ubiorze stanie. Jakoż to bardziej szpetna i niegodna rzecz jest w oczach króla nad królami nieochędożnie się pokazać!

Ornatów i innych ubiorów i sprzętów kościelnych tak wielki miał dostatek, że i po śmierci jego synowie mieli czem kościoły opatrywać. Na jałmużnę corocznie wydawał własną ręką więcej niż 70.000 złp. Pokory był on wielkiej; wszystkie swe sprawy z Bogiem poczynał, a przyprowadziwszy je do końca, Bogu to wszystko nie sobie przypisywał. Pobożność jego była bardzo wielka. Pod Smoleńskiem nie żałował jednemu żołnierzowi Grzegorzowi darować wieś dużą za obraz Maryi Panny, który przez długi czas jako największy skarb przechowywał w skarbcu swoim, potem syn jego darował ten obraz do cerkwi Czerejskiej, gdzie do dziś dnia wielkiemi słynie ła-

skami. Do Maryi Panny i ukrzyżowanego Jezusa, osobliwsze miał nabożeństwo, co noc leżąc krzyżem na ziemi przez pół godziny modlił się za kościół i ojczyznę, a tak to czynił kryjomo, że nikt by o tem był nie wiedział, żeby był przypadkiem nie wydał się przed spowiednikiem. Pacierze kapłańskie co dnia odmawiał, co też znając spowiednik jego' skorzystał z tego pewnego razu ratując życie jednemu żołnierzowi, na którego zapadł dekret śmierci, za to, że przypadkiem z lekkomyślności zabił żyda. To też gdy już ów żołnierz na drugi dzień podać miał gardło pod miecz katowski, spowiednik ów wiedząc, że książę żadnej nocy nie opuści by się z książki nie pomodlił, włożył do niej na to miejsce gdzie czytać miał, kartkę, na której wypisał z pisma świętego prawo o zabójstwie, które człowiek nie dobrowolnie popełni. Książę w nocy wstawszy, gdy ową kartkę przeczytał, obdarował życiem żołnierza na śmierć skazanego, rzekłszy do siebie:

— Dobrze się stało, będziemy przed Bogiem bez grzechu! — a potem dziękował spowiednikowi za roztropny pomysł jego i pochwalił go mówiąc:

— Wygrałeś ojcze, iżeś roztropnie upomniał.

Dekret zaś ów na tego żołnierza dla tego tak srogi wypadł, gdyż książę ten karności w wojsku ściśle przestrzegał mawiając:

— Czemże poskromić tego, który idzie na cudze życie z orężem, jeżeli nie bojaźnią śmierci, bo i czegoż by sobie nie pozwalali! Kara śmierci na jednego, bojaźń na wszystkich pada i w karbach ich utrzymuje.

Przestrzegał tego najwięcej, żeby wojsko mając bronić lud przed napaścią cudzych, obywatelów i ludu nie uciążało i łez z nich nie wyciskało.

— Trudno się przez takie wojsko zwycięstwa spodziewać — mawiał książę — za którym się przekleństwo wlecze i łzy ludzi ubogich.

To też za to Lew Sapieha ojcem poddanych był przezwany, gdyż rządcom dóbr swoich nigdy zalecać i nakazywać nie przestawał, by kmiotków jego nie krzywdzili, nie uciskali i często im te słowa powtarzał:

— U was chłop chłopem, a u mnie Wielmożnym, Jaśnie Wielmożnym, bo kiedy chłopa nie będzie, pewnie Jaśnie Wielmożnych nie będzie!

Dla poddanych w dobrach swoich liczne szkoły fundował mawiając: że nic tak narodu na nogach nie stawia, jak dobre szkółki i dobra w nich i pożyteczna nauka dla młodzieży prostej. Wrodzona ludzkość, litość i sprawiedliwość ku poddanym pana tego zjednała mu u nich wierność, życzliwość i miłość, dla której nie nazywali go panem, tylko ojcem swoim. Żyje dotąd między gminem prostym wiekami niezatarta sława jego i żyć będzie równo z ich pokoleniem.

Jak za życia swego zawsze był z Bogiem, tak też przy modlitwie lekko i spokojnie w Bogu życia dokonał, a żałoba i błogosławieństwo ludu nie tylko Litwy ale i Polski całej, to jedyny skarb i najdroższy i najmilszy, który z życia swego Bogu zaniósł w ofierze. *Szczęsny z Żółkwi.*

Zdrowaś Maryjo!

Zdrowaś Maryjo, Boga Rodzico!
Błagamy Ciebie Święta Dziewico!
Niech łaska Twoja zawsze nam sprzyja,
Módl się za nami! Zdrowaś Maryja.

Panno przeczysta, Panno bez zmazy,
Broń nas od chorób, strzeż od zarazy,
I jako raju wonna lilija,
Oczyść powietrze — Zdrowaś Maryja!

Ty coś karmiła świata zbawienie,
Nam jako Matka daj pożywienie,
Niech brak żywności nas nie zabija,
Broń nas od głodu! Zdrowaś Maryja

Ty coś płakała nad śmiercią Syna,
Przez Twe łzy gorzkie Matko jedyna
Oddal śmiertelność co lud zabija,
Broń nas od moru! Zdrowaś Maryja!

Ty coś płomieni innych nie znała,
Tylko miłością Boską pałała,
Spraw niechaj pożar dom nasz omija,
Broń nas od ognia — Zdrowaś Maryja!

Najświętsza Panno, łagodna, cicha,
Spraw niech miłością lud Twój oddycha,
Niech się niezgoda wśród nas nie zwija,
Daj bratnią jedność — Zdrowaś Maryja!

Ty coś Chrystusa w łonie poczęła,
Pokorą życia wśród nas słynęła,
Chroń nas od pychy wdzięczna lilijo,
Daj bratnią miłość — Zdrowaś Maryjo!

Ty coś ubóstwem była odziana,
Chroń od chciwości, cechy szatana;
Zasłoń od nędzy, co lud zabija,
Daj mierność w życiu — Zdrowaś Maryja!

Królowo nasza wśród Cherubinów,
Usłysz głos ziemi nieszczęsnych synów,
Co się do tronu Twojego wzbija,
Ratuj nas Matko! Zdrowaś Maryja!

Niech nasze ziemskie znikną cierpienia,
Spuść nam z niebiosów gwiazdkę zbawienia,
Niechaj zgryzota dom nasz omija,
Zasłoń swą tarczą! Zdrowaś Maryja!

Błogosław ziemię, ojczyste łany,
Cele godziwe i kraj kochany;
Błogosław naród wdzięczna lilijo!
Boś nam Królową — Zdrowaś Maryjo!

Dzięki Ci Matko nasze składamy,
Za to co w życiu z Twej łaski mamy;
Niech Twoja litość zawsze nam sprzyja,
Wspomóż nas wiernych!.. Zdrowaś Maryja!

Dobry przyjaciel,

czyli:

Jak Kasper Bąk z bogatego gospodarza zeszedł na proszalnego dziada.

Moja Pani Matko,
Szanujcie też zięcia,
Żebym Wam nie bijał
Waszego dziecięcia,
Żebym go nie bijał,
Gorzałki nie pijał,
Do karczmy nie chodził,
Za łeb się nie wodził!

— Hu! ha! dalej chłopcy! hejże za mną — krzyknął Kasper krzesząc ognia w podkóweczki i wywijając od lewego z Baśką córką Jesionka najbogatszego kmiecia z Powroźnika. Ba, cóż nie miał hulać, a czy to dzisiaj nie jego wesele? Co się nie ma radować: dwadzieścia i pięć morgów pola pszenicznego, sześć mórg łąki, pięć pastwiska i do tego jeszcze ośm gaju, drobne to bo drobne; ale jest czem w piecu zapalić i płot ogrodzić, a chociaż i krokwa na poprawę chałupy się znajdzie.

To grunt, że obsiany i dobrze każdy o tem wie, że w stodole pełno jak nabił, a w spichrzyku omłóconego nie mało i o tem wiedzą ludzie: że jest sześć krów w oborze, cztery konie w stajni i troje trzody w chlewie, a kur, gęsi i kaczek z kopa, to i tego nie skryje, ale że w skrzyni 120 dukatów i kupka srebra, o tem ludzie nie wiedzą, bo ich nie rachowali — ale przecie coś przebąkują...

Kiedy były zmówiny, stary Jesionek, kmieć też bogaty, mówił do Kaspra:

— Czemże ja będę wianował moją Baśkę, kiedy ty Kasperku takiś gruby, a może i grubszy bogacz jak ja... Już to dla mego Antka grunt i dobytek, ale tobie już sam nie wiem co dać.

— Co łaska panie ojcze, co łaska — mówił Kasperek.

— Wiesz, że rachować nie umiem, ale jeśli przystaniesz, dam ci garniec starych talarów na przykupienie gruntu.

— Bóg zapłać panie ojcze! — rzekł Kasper.

— I cztery nitki korali, co je po sześć dukatów nieboszczka pani matka płacili.

— I to się przyda, jeśli nie dla mnie, to dla Basi — mówił Kasperek kłaniając się ojcu.

Po tych zmówinach we trzy niedziele było weselisko, od któregośmy zaczęli nasze opowiadanie. Luda było jak nabił, muzyczka jak się patrzy, jadła co nie miara, jednej tylko gorzałki ani krzty, jeno miód a wino; bo ani ojciec Basi, ani Kasper, ani cała rodzina wódki nie pijali.

Tak Kasper ożeniwszy się z Basią był najbogatszym kmieciem na dwie mile w około, a wszyscy mówili, że niejednego drobnego dzierzawcę mógł w kieszeń schować.

Kasper po weselu wziął się ochoczo do pracy, za owe teściowe talary przykupił jeszcze kilkanaście morgów roli i dwie pary wołów. Miał czterech parobków, trzy dziewki i pastucha, robił wedle pola bardzo pilnie, co rok też przysparzał sobie grosza i dobytku.

— Zobaczycie — mawiano w karczmie — że ten Kasper Bąk jeszcze kiedyś na wsiowego pana wyjdzie; a jeśli nie on, to jego dzieci.

Jakoś w tym czasie przybył do Powroźnika Bonawentura Łysak, cioteczny brat Kaspra. Służył on był w wojsku przez 10 lat, a że czytać i pisać umiał, został więc kapralem. Harda to była i ostra sztuka, czapkę wojskową nosił przekręconą na ucho, a choć z wojska wystąpił i już w górnicy chodził, chciał żeby mu wszyscy mówili: panie kapral.

Dostało mu się po ojcu kilka morgów nie złej roli i licha chałupa, ale co inwentarza to już nietylko ani szkapy ni krowy, ale nawet ni psa ni kota; myszy tylko w starej stodole nie brakowało, ale przecież myszami nikt nie orze.

Łysak nie był w ciemię bity, ledwie przybył do wsi, a już się dowiedział o majątku Kaspra. Postanowił mu więc schlebiać i ciągnąć ku sobie, aby potem i pożytkować z głupiego, i przysporzyć swej kieszeni cudzą pracą.

Najprzód więc zaszedłszy do domu Kasprowego, pozdrowił gospodarza bardzo pięknie, oglądał a wychwalał co tylko

sił stało jego całe obejście i inwentarz i obrobienie roli i gospodarkę i żonę i dzieci i czeladkę, jednem słowem kłapał językiem gdyby pytlem we młynie, a Kasperkowi aż serce rosło.

Kiedy się tak zaraz na wstępie poprzyjaźnił i serca obojga pozyskał, zaraz też i bywać począł w Kasprowym domu. Bonawentura przywiózł z sobą kilkadziesiąt reńskich, które był jeszcze na wojnie we Włoszech pozyskał, więc też chcąc ich lepiej sobie zjednać, zaprosił oboje do miasta, a tam ich drogiem a słodkiem winem tak uczęstował, że pijaniuteńcy do domu powrócili.

Kasper aż do tego czasu rzadko kiedy co pijał, raz dla tego że się wyprzysiągł wódki, powtóre ze w mieście nie bywał tylko kilka razy do roku ze zbożem, kiedy je na targ wywoził, ale i wtenczas poprzestawał na jednej lub dwu szklankach piwa, raz tylko pił wino, ale że było kwaśne więc za niem wcale nie tęsknił. Skoro przecież zakosztował onego starego a słodziutkiego węgrzyna, od którego mu się dziwnie miło na sercu a gorąco na serduszku zrobiło, więc zaraz wstręt do napitku w nim zniknął i pogardził kwaśnem winem i ordynaryjnem piwem, a umyślił sobie nic nie pić, a jeżeli pić to chyba tylko owo wino, którem go poczciwy Bonuś utraktował. I oglądał się za okazyą jakoby się wziąć do flaszeczki.

— Wiecie co panie Kapralu — mówił na drugi dzień Kasper do Łysaka — uczęstowaliście mię wczoraj co się zowie, pozwólcież niechajże ja was dzisiaj uczęstuję nawzajem.

— Nie mój Pociotku — odrzekł Bonuś - - nic bracie z tego dziś nie będzie, wczoraj była niedziela, to co innego, a dziś poniedziałek, trzeba się brać do roboty, bo i trunek nie poszedłby nam na zdrowie i wasza by była na mnie *szimfowała*, że się włóczycie ze mną po mieście za kieliszkiem wina.

— Co ma być markotna, czyż jej to z sobą wziąć nie możemy, ona na to jak na lato.

— A nie szkoda to pieniędzy — mówił chytrze Łysak — trzeba wam wiedzieć mój Kasprze, żem wczoraj płacił za butelkę po ośm złotych, bo to jest *wein ausbruch*, ale wy po niemiecku nie znacie.

— Ha! toście się bardzo poszkodowali — mówił Kasper — ale na mnie tego nie znać, co dzięki Panu Jezusowi więcej mam niżli mi trzeba.

— Wiecie co Kasprze — odpowie Łysak — zamiast co macie pieniądze tracić na napitek, pożyczcież mi łepiej nieco grosza, bobym rad sobie chociażby liche szkapięta kupić, nie mam też ani krowiny ani żadnego instrumentu do roli, i bardzo mi trudno rozpocząć gospodarkę.

— Fraszka o to, każę moim parobkom wyjechać i grunt ci sprawię, a na szkapy pieniędzy pożyczę, czyś to nie mój pociot. Jutro jarmark na konie i bydło, to pokupujemy.

Na drugi dzień wyjechali we troje do miasta, Pociot Bonawentura kazał na początek dać butelkę statego maślacza, Kasper drugą i trzecią, jak sobie podpili, tak też poszli kupować konie. Bąk mając zagrzaną głowę, zamiast ladajakich szkap, kupił dwa piękne konie, krowę, jałówkę i maciorę, poszli znowu do sklepu obrachunek robić, ale po jednej i drugiej butelce, Kasper opiwszy się począł ściskać Bonawenturę i rzekł do swej niewiasty.

— Basiu! cóż to mamy z krewniakiem robić porachunki, dyć to moja krew! dyć to syn siostry mojej matusi, mamy pieniędzy dosyć, to trzeba biedaka wesprzeć, niechże on sobie to wszystko cośmy kupili weźmie i niechaj mu posłuży na zdrowie.

— A niech bierze, co nie ma brać — mówiła Basia, ledwie stojąc na nogach.

— Ja nie przystanę na to — mówił Łysak — hej panie kupiec, jeszcze butulkę *fein weinu.*

— Musisz przystać — wołał pijany Kasper — bo jak nie, to cię w łeb udrę, rozumiesz.

— No ja się tam z moim *bruderkiem* nie będę bijał, kiedy tak chcecie to niech będzie ale musisz mi to przy świadkach, żebyś potem nie zapierał, a mnie po sądach nie ciągał.

Więc Kasper zawołał kupca, sołtysa ze wsi i dwóch gospodarzy i przy nich swemu krewniakowi podarował wszystkie kupione rzeczy.

Od tego czasu w wielkiej żyli przyjaźni. Łysak schlebiał Kasprowi, a ten coraz częściej zaglądał do miasta i grosz marnował.

Tak przeszło parę lat.

W tym czasie po rozmaitych wydarzeniach w kraju nastało prawo, ażeby włościanie sami sobie wójtów obierali. Skoro się zebrała gromada, uradzili wszyscy, że w całej wsi nie ma mądrzejszego na wójta jako Łysak, bo i czytać umie i schodziwszy wiele krajów zna różności światowe i wszelkie obyczaje ludzkie, a więc będzie umiał dobrze chodzić wedle dobra gromady. Łysak wcale się nie wzdragał, ale kiedy już ostatecznie na to przyszło, że miał przysięgać na wójtowski urząd, tak się odezwał:

— Ojcowie gromadzcy, bardzom temu rad, żeście mię *awansirowali* na ten urząd wójtowski, który we wsi tyle znaczy co *kapitan przy kumpanii*, ale chociaż znam czytać i pisać, to nie mam takiego dobytku, żebym mógł gromadę pięknie częstować, kiedy przyjdzie jaka okazya. Więc przystańcie na to, abym ja był pisarzem gromadzkim przy wójcie, niby feldweblem przy kapitanie, a zaś na wójta weźmy Kaspra Bąka, który ma zadość pieniędzy aby pięknie wójtowski urząd sprawował.

Więc gromada na to przystała, a Kasper ucieszony z tego bardzo, Bonawenturze podarował dwuletnią jałówkę, gromadzie zaś wielką wyprawił hulankę, na której słodkie wino lało się jak woda w gardła gospodarskie.

Odtąd pan wójt gospodarzy, a pani wójcina gospodynie hojnie raczyła, i rosło znaczenie Kaspra, ale za to ubywało majątku. Bo nie dość że gotowizna poszła na hulanki, ale i korale poszły na zastaw, a gdy tego brakło, począł Kasper po kawałku grunt sprzedawać, to na pięć, to na dziesięć lat, marnował się dobytek i oboje coraz na większą biedę schodzili. Bieda ta przecież przychodziła wesoło, bo przy kieliszku i hulance, kiedy zaś Kasper pomiarkował, że wino słodkie kosztowało za wiele, przeszedł do kwaśnego, potem do piwa, a że się wreszcie i z gorzałką przeprosił.

Jakim to szło sposobem, byście się dowiedzieli, posłuchajcie rozmowy Kaspra ze żoną.

— Basiu, pieniędzy już nie ma ani krzty, a pojutrze mamy gromadę, trzebaby wszystkich uczęstować pięknie, cóż tu robić?

— Ha sprzedajmy Bartkowi łąkę wedle stawu, bo się o nią napiera.

I sprzedali wziąwszy za trzy morgi na pięć lat dwieście czterdzieście złotych. Po odbyciu gromady pyta się Kasper żony.

— Dużo masz jeszcze pieniędzy Basiu?

— A będzie jeszcze z ośm złotych.

— Bój się Boga kobieto — zawoła Kasper — a gdzieżeś ty pieniądze podziała, tom ci przecie dał pięćdziesiąt złotych.

— Albożem to nie popłaciła długów, Janklowi piętnaście, Mośkowi dwadzieścia, kupcowi w mieście jedenaście, a za resztę uczęstowałam kumoszki, aleć ty przecie musisz mieć dosyć grosza, boś zatrzymał cztery razy tyle.

— Ja też zapłaciłem siedmdziesiąt złotych za wino, bo mi od Bożego Narodzenia borgował. Szai także za wódkę należało się sto dwadzieścia, tom połowę upłacił, a Łysakowi dałem długu trzydzieści dwa, a za resztę uczęstowałem gromadę.

— Nie mógł ci to Łysak poczekać, zapytała Basia.

— Ba onby też czekał, toć mi odgrażał, że mię zaskarży do powiatu, i tyle zrobi, że mię z urzędu wójtowskiego zrzucą.

Tak więc w krótkim czasie Kasprowie sterali się zupełnie. Wprzódy miał zadość chleba nietylko dla siebie, ale jeszcze i dla biednego wystarczyło; teraz zaś coraz większa bieda dała im się we znaki. Wybrały się bydlęta; koniska zgłodniałe i zmarzłe dzwoniły zębami nad próżnym żłobem, co im nie miał kto podać garści obroku, albo wiązki siana. Na drugi dzień rano Kasper jeszcze nie wytrzeźwiony z wczorajszej pijatyki, ciągnie biedne bydle do pługa, które mrąc głodem ledwie na nogach utrzymać się może. Jaka pasza, taka i robota, jaki gospodarz takie oranie, parobcy niepłatni poodchodzili, nie miał też kto i koło krów pochodzić, bo gospodyni piła jak i mąż, a czego tylko dopadła wynosiła do karczmy. Dzieci bez dozoru, bez nauki, obtargane, powalane, głodne, zamiast na pociechę Bogu i rodzicom, rosły ludziom na szkodę, bo przyciśnione głodem uczyły się kraść i kłamać, widząc zaś niezgodę i obrazę

Boską między rodzicami, same przyzwyczajały się do klątw i złorzeczeń.

Nareszcie co się stać miało to się i stało. Barbara zapiła się i wracając z jarmarku późno w nocy spadła z mostku w rzekę, a chociaż woda tam nie była głęboka, przecież wódka przycisnęła jej głowę do dna i kobiecina utopiła się. Straszna to była jej śmierć bez przygotowania, bez spowiedzi, bez świętych sakramentów! Po śmierci żony, Kasper rozpił się do reszty. Dłużnicy zabrali gospodarstwo, a ów niegdyś najbogatszy kmieć w całej wsi, wyszedł na dziada i z kijem a torbą od wsi do wsi łazi strasząc psy i dzieci, a kiedyś pewnie umrze pod płotem. Otóż to taki koniec będzie Kaspra Bąka, który mu zgotowała gorzałka.

Chwałaż ci miła gorzałeczko, która takich cudów dokazujesz, niechaj się przed tobą schowają owe czarownice, co to o nich ludzie rozpowiadają, że niby umiały mleko zamawiać; bo ty bez czarów zamawiasz rozum człowieka i przemieniasz go w bydlę. Niechże się zawstydzi i sam panicz rogaty, bo on nad ludźmi takiej mocy nie ma jak ty piekielny truneczku, co najporządniejszego gospodarza wyprowadzisz na gałgana, a z wójta zrobisz pijaka i dziada!

RÓŻNOŚCI.

Przeproszenie za obrazę. Ni za górami ni za lasami, ale we wsi Trawnie mieszkał Antoni Chapek, człowiek który lubo nie miał wielkiego gospodarstwa, bo jeno podobno sześć mórg samych piasków, dobrze sobie jednak zajadał co czwartek u rzeźnika Czerwonki i tęgo zapijał najlepsze likiery u Icka, a gdy przyszła niedziela, to się tak wystroił w sukienną sukmanę i świecący kapelusz, żebyś myślał sobie, iż to pewnie sam sołtys lub jaki ławnik ze wsi. Różnie tam gadali o nim ludziska, że niby nieraz zakrada się jako kuna w nocnej porze to do spiżarni, to do stodoły i inne jeszcze rzeczy o nim gadano, ale tak tylko między sobą, boć nikt go na gorącym uczynku nie schwycił. Wszakże wszyscy go nie cierpieli i nie radzi się z nim w jaką sprawę wdawali, i jakby jemu na urągowisko w pohańbieniu nazywali go Chłapek.

W niedzielę po południu idzie sobie Szymon, co był człowiek wielce

uczciwy, jeno trochę gorączka, a przytem i figlarz nie mały, do karczmy stojącej tam gdzieś na końcu wsi by sobie przeczytać jaką gazetkę Wchodzi sobie tedy do karczmy, a tu siedzi przy stole Antoni Chapek, a przed nim stoi spora flaszeczka z winem.

— Jak się macie Szymonie — odezwie się Chapek — proszę na kieliszek wina, a jest dobre.

— Dajcie mi pokój z waszem winem. Pijcie je sobie sami, któż tam wie za czyje i jakie pieniądze je sobie kupiliście.

— Jeno mi o takich rzeczach nie gadajcie, Szymonie, bobyście się sparzyli: Jam człowiek tak uczciwy, jak i wy jeśli nie więcej.

— Co? ty Chapku o uczciwości swej chcesz mi w żywe oczy gadać? Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.

Powstał na to Chapek i nuż się kłócić z Szymonem, bo mu już i szumiało w głowie i nie kontentując się, co dostał, koniecznie jeszcze czegoś więcej mu się zachciewało. Od słowa do słowa aż przyszło do tego, że mu Szymon bez ogródki palnął prosto w oczy:

— Ty złodzieju, ty rabusiu, tyś nie wart, że cię święta ziemia nosi! Kto to ukradł siekierę z podwórza Marcinów, kto pozdejmował żelastwo z pługa Ignacemu, gadajże, gadaj chapku, łapku, złodzieju.

Chapkowi i tego było za mało, na drugi dzień wybrał się do miasta ze skargą przed sędziego na Szymona, jako go niewinnie o złodziejstwo posądza i obraża. Krucho było teraz z Szymonem. Po niejakim czasie wołają go przed sąd i czytają mu wyrok, że za karę musi zapłacić pięć złotych za to, że uczciwego człowieka nazwał złodziejem.

— Ha, cóż robić — myśli sobie Szymon – kusa rada, trzeba już będzie i zapłacić. Dobywa więc pięć złotych i kładąc na stół, mówi:

— Więc to proszę Prześwietnego Sądu trzeba pięć złotych zapłacić, gdy się uczciwego człowieka nazwie złodziejem? A coby też trzeba zapłacić, gdyby się złodzieja nazwało uczciwym człowiekiem?

Sędzia roześmiał się na to pytanie i rzekł:

— To przecież nic nie kosztuje, boć się przez to nikogo nie obraża.

Zaczem Szymon obraca się do Chapka i mówi:

— Żałuję, bardzo żałuję, żem cię obraził uczciwy człowiecze. Bywajże mi zdrów, uczciwy człowiecze!

Chapek zrozumiał doskonale, co znaczyły te słowa, chciał Szymona jeszcze raz zaskarżyć, boć teraz czuł się jeszcze mocniej niż przed tem obrażonym Ale pan sędzia, który go też już trochę znał, nie przyjął skargi i powiedział mu, żeby się tem kontentował, boby nareszcie źle wypaść z nim mogło.

Gościniec dla rabina. W pewnem mieście żył bardzo rozumny i uczciwy rabin, więc żydzi zmówili się, aby mu jakiś dać podarunek. Długo radzili aż w końcu uradzili, dać mu beczkę wina. Umówili się więc tak, aby każdy żyd przyniósł z sobą jedną flaszkę wina i wlał do beczki, a tym sposobem miała się cała beczka

napełnić. Przyszedł termin zebrania wina, a tu jeden i drugi żyd tak sobie myśli:

— Po co ja mam dawać wina prawdziwego, ja przyniosę butelkę wody i wleję do beczki, a któż tam będzie wiedział, że ja dał wodę, a w winie to nawet znaku po niej nie będzie!

Ba! gdyby to był tylko jeden i drugi tak sobie pomyślał! Ale tą razą to wszyscy żydzi tak sobie to w głowie ułożyli, każdy dla siebie i każdy w wielkim sekrecie. Gdy przyszło napełnić beczkę, każdy żyd wylał coś prędziutko z flaszki i poszedł. Gdy już beczka była pełna białego wina, zawieźli ją żydzi do rabina. Rabin podziękował im pięknie i kazał darunek schować w piwnicy. Gdy przyszedł szabas, posłał rabin do piwnicy, aby mu z tej darowanej beczki utoczono wina. Kiedy mu wino przynieśli — on kosztuje! — a to samiutka czysta woda! I inaczej też być nie mogło, bo każdy żyd myślał sobie skrycie, jak inni, i nalał zamiast wina wody do beczki.

Z druciarza pan. Jak to daleko przy pracy, oszczędności i Bożej pomocy doprowadzić może uczciwy człowiek, macie przykład w takiej historji, o której piszą gazety. Przed kilkunastu laty przyszedł do Warszawy z daleka jakiś druciarz ubogi. Był to bardzo uczciwy i pracowity człowiek, więc też zarabiał dosyć, oszczędzał i tak powoli uzbierał sobie znaczny majątek i kupił w Warszawie kamienicę. Ale co w tem najpiękniejsze, to to, że ten druciarz jak wyszedł na pana nie zapomniał o swem pochodzeniu i bogactwo nie popsuło mu serca! Oto widzicie na pamiątkę swego stanu daje on codzień u siebie obiad jakiemu biednemu druciarzowi, co się do Warszawy przybłąka. Takiemu to Bóg nie poskąpi błogosławieństwa!

Zaraza na bydło. Za granicą, w obcych krajach, a szczególnie w Anglii, to połowa bydła odeszła, na jakąś chorobę tyfus bydlęcy; ma to być straszna na bydlątka choroba; zaś u nas w Galicyi pojawił się w okolicach za Lwowem tak zwany „Księgosusz“, i już w kilku miejscach bydło padło. Na to nieszczęście pomoże jedynie ostrożność wielka, bo choroba bydlęca nie udziela się tak powietrzem, jak cholera na ludzi, tylko bydlę musi się jedno od drugiego zarazić, to jest musi się jedno z drugiem zetknąć; a przecież temu łatwo zaradzić, żeby z okolicy gdzie zaraza, nie wypuścić bydła, ani broń Boże nie kupić, choćby najtańsze było; jak też równie, gdy u kogo bydle zachoruje, żeby tego dla szkody nie ukrywał, ale zaraz dał znać do urzędu, i dalej swego bydlątka nie puszczał, inaczej stałby się zdrajcą swojego własnego kraju, i pokazałby, że nie kocha bliźniego swego, bo co tobie niemiło, to drugiemu nie czyń!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.